

ŻYTOMIRSKI ZYGMUNT AUGUST, por. żand.

UWAGI Z DZIEDZINY MEDYCyny SĄDOWEJ.

CZĘŚĆ I.

IV. Krótki rys historyczny medycyny sądowej.

Sięgnawszy okiem w starożytność, stwierdziliśmy takt, że medycyna sądowa, we właściwym tego słowa znaczeniu, nie istniała ani u Greków, ani u Rzymian. Zdziwić się temu nie można skoro się zastanowimy, że u narodów tych, aczkolwiek na wysokim stopniu kultury stojących, zarówno nauki przyrodnicze jak i nauka lekarska nie zdołały stanąć jeszcze na tym stopniu udoskonalenia, do jakiego później doszły. Szczególniej w Rzymie lekarze, należący po największej części i jedynie prawie do klasy ewolucyjnej, uważani byli za ludzi nieposiadających głębszej nauki i niezasługujących na wiarę. Wiadomości ich z dziedziny medycyny opierały się tylko na praktyce, a dorobek jej składał się z wyników doświadczenia ich własnego i obcego.

Do celności w swej sztuce dochodzili oni tylko drogą eksperymentów, toteż nie można powiedzieć, by wykształcenie ich opierało się na zasadniczych i głębszych podstawach naukowych. Otwieranie np. ciał zmarłych w ogólności, a tem więcej wykonywane pod okiem rządu i upoważnienia tegoż, sprzeciwiało się przekonaniom publicznym oraz mniemaniom i obrządkom religijnym. Toteż praktyka chirurgiczna, niemająca prawie żadnego zastosowania przy obdukcjach, przedstawiała dla swego rozwoju bardzo małe pole doświadczeń, a stosowana tylko na osobach żywych, nie mogła cieszyć się takimi postępami, jakie były udziałem innych gałęzi nauk. Trzeba wreszcie zauważyć, że ani

w Grecji, ani w Rzymie nie była jeszcze znana zasada sądu inkwizycyjnego, a cała rzecz opierała się tylko na skardze i świadkach, dalej, że w postępowaniu sądowym nie tyle szło o wykazanie samej istoty czynu przestępnego, jak raczej o dowiedzenie celu i rozmyślnego przedsięwzięcia tegoż przestępstwa. Rzecz prosta, że tego rodzaju stan rzeczy, nie tylko nie sprzyjał rozwojowi praktyki sądowo-lekarskiej, ale go nawet tamował. Przybliższym jednak rozpatrzeniu się, napotkamy jednak, nawet w stosunkowo odległych czasach, pewne ślady istnienia czegoś, w rodzaju medycyny sądowej i jej znikomej praktyki. Ślady te są nie całkiem jeszcze wyraźne, ale w każdym razie nieco do pojęcia praktyki sądowo-lekarskiej zbliżane. W niektórych bowiem rozporządzeniach cesarskich, tu i owdzie, znajdujemy pierwsze przykłady zastosowania medycyny dla celów państwowych wogóle, a sądownictwa w szczególności. I tak np. *Numa Pompilius*, jeden z pierwszych królów rzymskich, wydał w siódmym wieku przed n. Chr. rozporządzenie, by wykonywano t. zw. cesarskie cięcie na zwłokach kobiet brzemiennych. Rozporządzenie to, podobnie, jak i inne rozporządzenia pierwszych królów rzymskich, wcielił on w skład t. zw. *praw królewskich „leges regiae“*, zapoczątkowanych przez jego poprzedników, a periodycznie uzupełnianych nowymi przepisami przez następców. Dalej „*prawo dwunastu tablic*“ (V wiek przed n. chr.) zawiera przepisy co do opieki nad obłąkanymi. Późniejsze prawa stanowiły, że testamentu, bez naruszenia jego ważności, nie może sporządzać ani niedorośli, ani szalony, za świadków zaś do sporządzania te-

stamentu nie wolno było powoływać, ani głuchych, ani niemych, ani szalonych. Jeśli podobny wypadek miał miejsce, a ktoś chciał skutecznie zakwestjonować ważność danej czynności prawnej, to musiał to udowodnić, co było możliwem tylko przy pomocy odnośnego orzeczenia lekarskiego. W przeprowadzeniu więc badań i wydaniu opinii względnie złożeniu przed sądem potrzebnego i wymaganego świadectwa ze strony powołanego lekarza, należy dopatrywać się początków praktyki sądowo-lekarskiej i medycyny sądowej. Ważne wskazówki, co do rozpoznawania chorób udawanych pozostawił Galen w 2-gim wieku po chr. W reszcie *kodeksu Justyniana*, cesarza rzymskiego, który powstał w VI wieku po chr. nad którym pracowało wielu sławnych uczonych i wybitnych prawników, a który jest ostatnią, doskonałą, wyczerpującą i poprawioną, oraz do ówczesnych czasów i potrzeb dostosowaną edycją, zawiera między innymi także rozporządzenia i przepisy prawne w odniesieniu do medycyny sądowej. Wykazuje np. potrzeby przekonywania się o brzemienności kobiet, które w tym stanie uwolnione były prawem od wszelkich tortur. Czynności jednak w tym względzie powierzano nie lekarzom, ale prostym kobietom, które trudniły się babieniem i zajmowały się niesieniem pomocy przy porodach i chorobach właściwych kobiecemu stanowi. Pozatem zawierał kodeks ów wiele innych przepisów, odnoszących się do wypadków, gdzie czynności lekarza i jego opinie dla praktyki sądowej była konieczna.

(C. d. n.)

KSIĄŻKI.

—o—

Nakładem sekcji prasowej Komitetu Robotniczego obrony niepodległości—wyszło ostatnio kilka interesujących broszur, związanych ze sprawami aktualnymi, a mianowicie z kwestją bolszewizmu i walką przeciw nawałi armji bolszewickiej.

Dwie broszury są oryginalne; z tych pierwsza *Droga do Pokoju*, powołując się na przykład Belgji, słaui wytrwałość w walce z nieprzyjacielem; ta zaś moc ducha prowadzi do pokoju przez zwycięstwo. *Bojowey* — jest to druga książeczka, o charakterze partyjnym, której autor stara się wykazać, że po roku 1863 wyłączenie prawie przedstawicieli tej grupy, która ostatecznie przybrała nazwę P. P. S. — przechowali tradycje powstańcze i ideję niepodległości — Dwie inne broszury są tłumaczone: jedna z niemieckiego, druga z rosyjskiego.

D-ra Hausa von Echardta *Szkice z Rosji bolszewickiej* jest to studjum czysto naukowe, które nad wyraz bezstronnie i bardzo gruntownie — wykazuje nedorzecznosci gospodarki bolszewickiej, która doprowadziła kraj do absolutnej ruiny. Na str. 18 i 19 autor wylicza ostateczne fakty, ilustrujące niebywałą niewolę człowieka, gorszą od Asyryjskiej i Egipskiej — jedyny, obok śmierci głodowej, wynik rewolucji rosyjskiej.

Wysoką wartość artystyczną mają obrazi Maksyma Gorkija *O rewolucji bolszewickiej*. Są to feljetyony (z r. 1918) głęboko rozczarowanego człowieka, który marzył o rewolucji, pragnął jej i do niej dążył — i który nareszcie ją zobaczył, jako widmo o potwornem obliczu i przerażająco groźne swym bezpłodnym i jałowym nihilizmem. Fragment z tej książeczki podajemy.

Maksym Gorkij.

W chorem mieście.

26 maja 1918 r.

W ciasnym i odległym zaułku, na chodniku wyżartym przez wodę deszczową, pod zniszczonym płotem siedzi chłopczyk może pięcioletni i trochę starsza dziewczynka. Oboje są przeziębieni i ubrani w ciemne łachmany. Dziewczynka ma na nogach brązowe rozdeptane trzewiki dorosłej osoby, chłopiec na jednej nodze ma pończochy w paski, na drugiej szarą pończochę.

W wyblakłego nieba patrzy na nie ukosem ledwie ciepłe, okropnie dalekie, nieledwie zsiadłe brązowe słońce. Wprost przed dziećmi wznosi się brązowy mur z ogromną na noc zamkniętą bramą. Dziewczynka duma z napół otwartymi ustami. Niebieskie oczy chłopca wpatrzona są

nieruchomo w mur. Podnosi wolno głowę, spogląda w słońce, wykrzywia z niezadowoleniem twarz i mówi z uwagą:

„Jeśli...”

— Też masz pomysły — szepce sennie dziewczynka. Kurczy cienkie nóżki, zasłania je sukienką, przymyka powieki i opiera się głową o płot. Słońce pada teraz wprost na jej bezkrwistą twarz.

Na ulicy cicho. Zdaleka dolatuje szum i gwar wiekiego miasta. Promienie blaskanego słońca napełniają powietrze oparami, wylizwanymi zatrutej ziemi.

— Kot — mówi chłopczyk z uśmiechem i brudną rączką szturcha dziewczynkę w kolano.

Kot idzie wolno wzdłuż muru, prawie przyciskając się do niego, ledwo podnosi od ziemi kosmate łapki i stawia je gdzie popadnie, bez zwykłego poczucia czystości. Łeb ma opuszczony, sierść na grzbiecie jeży się, zebra uwydatniają się dokładnie, a brzuch zwisa jak pusty worek. Słońce świeci z tyłu i cień kota ma nieforemnie długi łeb. Chwilę przystaje, smutnymi ślepiami spogląda na dzieci, otwiera mordkę, nie wydając głosu i chwiejąc się odala, lada chwila gotów się przewrócić.

Dziewczynka drapie się w głowę i mówi: — Idzie umierać. Widzisz jaki słaby...

Chłopczyk wciąga odetmi ustami duży łyk powietrza i niezadowolony wypuszcza z westchnieniem słowo:

— Jeśli!

Dziewczynka idzie spojrzeniem za kotem i powtarza:

— Też masz pomysły...

Wyniszczony pracą i głodem koń upadł na stos drewnianych kostek brukowych. Ostre ich kany ranią mu boki. Złamany dyszel kluje we wzdęty brzuch, koń płacze. Zwiędłe powieki wyciskają wielkie brudne łzy ze smutnych jego oczu.

Mrukliwi ludzie, którzy widocznie dużo mają czasu, tłoczą się dookoła i mówią, że koń jest stary i nie może uciągnąć ciężko naładowanego wozu. Wóznica siedzi na kamieniu, rozpowiada, jaka droga jest dziś pasza i prorokuje:

— Wkrótce wszystkie pozdychają z głodu. I ludzie także.

Ktoś z tłumu rzuca uwagę:

— Szczury już zdychają.

Dzieci biegną tu i z powrotem, znoszą garście trawy, które wyrwały z ziemi z korzonkami. W trawie błyszczą żółte mleczce. Przykucają przed wyciągniętym pyskiem końskim i wpychają trawę i kwiaty między obwisłe wargi, cofają lekliwie małe rączki od szerokich szarych zębów.

Jest to tak samo wzruszające, jak gdyby umierającemu w katuszach człowiekowi ktoś czytał subtelne wiersze liryczne. Koń żuje me-

chanicznie i czyni słabe, daremne wysiłki, aby zsunąć się ze stosu ostrych kostek.

— Jak drga! — mówi basowym głosem któryś z uważnych widzów.

Po niebie ciągną ciężkie płachty szarych chmur, między niemi przegląda niebo omiecione przez zimowe burze, wymyte przez deszcz. Zbliża się rosły murzyn ze świecącą, wylakierowaną twarzą, w komicznym kwadratowym płaszczu, wielkich żółtych butach i z krótką fajeczką w zębach. Patrzy oliwkowemi oczami ponad głowy widzów, wtyka fajeczkę do kieszeni i potężnymi ramionami rozpycha tłum:

— Pardon... Pardon...

Schyla się w kucki, zręcznym ruchem atlety, przekłada drewniane kostki pod bokiem konia, podnosi je znowu, krzywi twarz, toczy czarnemi oczyma, uderza się płaską dlonią po boku i mówi łamaną ruszczyzną:

— Bolil Nie dobrze.

Poczem dodaje, wskazując grubym czarnym palcem na konia.

— Trochę mniej boli...

Dotyka palcami brzegu wciśniętego kapelusza, śmieje się wargami barwy ciemnych wisien, wtyka znowu fajkę w zęby i odchodzi.

— Patrzcie państwo! — mówi człowiek o mrukliwym basie.

Ktoś inny dorzuca obojętnie:

— Sam jest przecie jak ogier.

Powietrze pełne jest drobnego, siekącego deszczu, czegoś pośredniego między zamarłym oparem a mgłą. „Gazety Wieczne” wywołuje wątla młoda panienska, przytulając się do wilgotnego muru pięciopiętrowej kamienicy.

Ludzie przechodzą z zatrośkaniami twarzami, kapelusze głęboko zaciśnięte na czoło, z rękami tonącymi w kieszeniach. Samochód ciężarowy sapie i przyska błotem dookoła. Kilka kropek pada na suknię sprzedawczyni pism, strząsa je ze spódnicy, pokazując przytem wysokie buciki z wykoszlawionymi obcasami. Ma wąskie ręce. Błądą twarz rozjaśnia para poważnych oczu. Ściągnięte brwi drżą. Solidnie ubrany pan o wyglądzie byłego gubernatora albo kucharza z eleganckiego klubu, zbliża się do niej.

— Gazety wieczorne — mówi panienska.

Jegomość przystaje, przedsiębiorczym ruchem przeży masywny tułów, uśmiecha się jak człowiek bardzo syty, mówi coś i odchodzi. Panienska spuszcza głowę i zakrywa twarz. Poczem jedną ręką przyciska do piersi pakę gazet, drugą zarzuca koło szyi za ucho, otrząsa palce, jakby z obrzydzenia i ogląda się naokoło, cała czerwona. Twarz ma ukrytą w pismach. Jej wiotka ramiona drżą, a przed nią suną bezszelęstnie w osliżgłym błocie ludzie czy upiory.